

Otwarte teksty

Marek Zieliński

Inicjacja. Reportaż z przeszłości

| Trzymam go jak ptaka, mocno, aby nie uciekł, nie spopielił się jak wszystko pozostałe. Zaciskam palce i chodzę ostrożnie, niczym dyrektor po drugim zawale. Stawiam szeroko nogi, wolno, statecznie. I wciąż trzymam resztki, które mi pozostały, ochłapy tworzące zarys, ostatnią nadzieję. Z nią będę musiał iść dalej, próbować żyć, jakby nic się nie stało, nie było tego miesiąca odzierającego ze złudzeń.

Zapominać o wszystkim i tylko czasem się budzić z uczuciem spadania w przepaść, co mądrzy ludzie tłumaczą złym trawieniem, i co na pewno jest prawdą, choć może być spowodowane czym innym, a raczej na pewno jest spowodowane, bo jakże wytłumaczyć, że przedtem nie spadałem i trawiłem dobrze, przyjmując związek przyczynowo-skutkowy między dwoma tymi zjawiskami, a teraz spadam, choć już coraz rzadziej, bo jak długo można odgrywać tę samą rolę ofiary, buntować się, zamiast żyć z tym, co się ma, nie można przecież zmienić i przekreślić, i nie wsiąść do pociągu, który stał przepelniony, brudny, rozkrzyczany na stacji Warszawa Wschodnia i miał zaraz ruszyć, więc wszyscy się denerwowali i klęli, tylko my siedzieliśmy spokojnie, bo zajęliśmy przedział i byliśmy sami ze sobą, a przed nami miesiąc i słońce, morze, dziewczyny, a także praca.

Pracować chcieliśmy, pełni przekonania, że trzeba, ale i wiary w nią, jako coś lepszego i normalnego jednocześnie, aby zaakcentować, że jesteśmy ze wszystkimi, z Wiesławem, i to nie poprzez legitymacje partyjne, bo żaden z nas nie lubił ostentacji, ale poprzez pracę rzetelną, uczciwą, jak trzeba było, bo jakże inaczej, tyle lat czytaliśmy o pracy i jej wartości, i konieczności, i dobrodziejstwie, i że fizyczna jest wciąż podstawą, zanim przejdziemy dalej, wyżej, i że bez niej nic, i tak jak nasi ojcowie musimy pracować teraz, aby być z nimi, choć przez miesiąc i pomóc wszystkim pracując.

Jechaliśmy z gorliwością neofitów, pełnych radości, choć trochę i niepewnych przed nieznanym, które miało charakter łagodny, co najwyżej znaczonej odciskami

na dłoniach, ale dawało się rozpoznać i ocenić, i jeszcze nie miało wartości ani znaczenia, które okazało się potem po wszystkim, kiedy wracaliśmy podobnym pociągiem, równie zatłoczonym i brudnym, ale inni, jakby ten miesiąc zdeflorował nas na tyle skutecznie, że nie było już mowy o niewinności i nawet nie podejrzewaliśmy jej u siebie. Tak dalece inni, że aż przykro.

Ale wtedy wesoło wsiadaliśmy do pociągu, który jechał do Kołobrzegu i jeszcze bez przeczuć żadnych, nic nas nie ostrzegało, ani głosy wewnętrzne, ani sny, tylko pełni przygody i chęci pracy i myślenia o niej, wstydliwego, skrywanego na dnie, bo i po co mówić o czym i tak wszyscy mówią.

Zbliżaliśmy się do niej pracy wakacyjnej, praktyki, którą zaliczono nam potem w wybielonych pokojach dziekanatów, stawiając pieczętki w miejscu, gdzie był wstyd i próbując formalnością urzędową zasypać czas, dzielący nas od tamtych dni, kiedy dopiero wysiedliśmy w Kołobrzegu i szliśmy na godzinę 8.00 do Zakładu, do pracy. I kiedy zaczynał się pierwszy dzień pobytu, w mieście pełnym wczasowiczów, zapachów smażonych ryb i zaczętych budowli, przy których i my mieliśmy pracować, tak zresztą wynikało ze skierowania i z tego, że tu byliśmy potrzebni, bo brakowało mieszkań, co sami, choć młodzi odczuwaliśmy na własnej skórze, mieszkając w ciasnych przepelnionych klitkach; przynajmniej niektórzy z nas, lub wynajmując pokój we dwóch, trzech i płacąc za niego po 400, a czasem 500 i więcej złotych, bo brakowało akademików, ale miało się zmienić i dlatego byliśmy potrzebni i chcieliśmy pracować na budowie, żeby przybliżyć tę wizję drugiej Polski i urealnić sny o domach niekoniecznie szklanych, ale domach, i żeby czuć pod palcami rzeczywistość, twardy kształt cegły, zdzierającej naskórek i widzieć jak piętrzy się jedna na drugiej i powstaje ściana, czerwona, mocna.

Na początek dostaliśmy jednak miotły i zamiataliśmy ziemię naokoło rusztowań i przy placu, i smętni chodziliśmy z miotłami, aby zrobić coś niewidocznego i niepewnego, ale pocieszaliśmy się, że to początek i będzie lepiej, więcej pracy, sensownej, pamiętając zresztą zdanie dyrektora o pięknie wysiłku, i że dobrze będzie nam tu, i że pracy jest dosyć, a oni są zadowoleni, że studenci z Warszawy będą budować kołobrzeskie domy, i choć jest nas tak dużo, bardzo dużo, to przecież praca się znajdzie, na pewno, i patrzył poważnie nie tyle na nas, co na innych, swoich współpracowników; inżynierów i sekretarza partii, i coś tam myślał długo, aby zakończyć efektownie, że po wakacjach będziemy dumni ze swojego trudu i tego, że razem z klasą robotniczą budujemy socjalizm, a on już to dawno postulował, bo nie można dzisiaj żyć w oderwaniu od podstawowej klasy społecznej i trzeba razem z nimi, i usiadł zmęczony, czerwony na twarzy i chyba zadowolony z siebie, a i my zadowoleni, bo tego chcieliśmy, choć niektórym z nas nie podobały się słowa i od razu bez przemówień chcieli pracować jeszcze dzisiaj, tacy byli niecierpliwi i zapalczywi, ale potem im przeszło, jak każdemu z nas.

Następnego dnia też zamiataliśmy, tyle, że było to wewnątrz fundamentów i czuliśmy się jak ci, co kładą podłogę, bo zamiataliśmy ziemię, na której miała stanąć i byliśmy prawie szczęśliwi, choć trochę nas martwiło, że nie starczyło

dla wszystkich mioteł i część musiała rękoma zbierać śmieci i znosić na kupki, ale każdy pracował i nawet śniadanie wcześniej skończyliśmy, żeby więcej zrobić. Tylko ci, co mieli przerzucić i oczyścić z gruzu zwalistą górę piasku, nie byli już tak roześmiani, bo podnośnik się zepsuł i musieli dźwigać wiaderkami piasek, a zależało im na pośpiechu, bo zobowiązali się, że skończą za 6 dni, a tutaj ten podnośnik i wiaderka zresztą też nie było, więc trochę klęli, ale nazajutrz miano zreperować, więc liczyli, że nadrobiją.

Rano spóźniliśmy się do pracy 30 minut, bo okazało się, że stołówka, która według zapewnień dyrekcji działała w naszym baraku, gdzie spaliśmy, jednak w rzeczywistości nie działała i trzeba było iść 3 kilometry dalej do hotelu robotniczego do tamtej stołówki, i na szczęście wydano nam śniadania na bony do tej, która nie była czynna, choć miała być, a dyrektor przeprosił nas, a raczej naszego komendanta; co prawda dopiero nazajutrz, bo tego dnia jeszcze nie wiedział, że stołówka nie działa i był zdziwiony, ale przecież przeprosił; majster też nie wiedział i nie chciał uwierzyć w nasze usprawiedliwienie, mówił, że bumelujemy, długo mrucał pod nosem, a potem dał łopaty i kazał sypać żwir na boisko, przed budynek, w którym miała być szkoła, byliśmy zaskoczeni, że nie kończymy porządków, ale nie chcieliśmy się pytać, zresztą nie było potrzeby, bo mój kolega z roku powiedział, że tam, gdzie sprzątaaliśmy jest znowu pełno gruzów, bo rozpadło się całe okno i popękała jedna ściana, i nie wiadomo, czy nie będą rozbierać budynku.

Żwirowaliśmy więc boisko i trochę nam było głupio, że na próżno sprzątaaliśmy dwa dni, że na nic się zdało i niektórzy sarkali, że nie warto żwirować, ale zaczęliśmy więc skończyć. Po trzech godzinach oderwano nas od żwiru, gdyż przyjechał ciągnik i on miał ugnieść wszystko szybko, dokładnie, a nasze łopaty zrobiłyby to powoli, więc kazano nam przesiewać piasek, rzucać go łopatami na dużą ladę, a razem z nami było dwóch robotników, także przesiewających piasek i rzucaliśmy go szybko, i piasku było coraz mniej, tyle, że oni nas powstrzymywali, bo nie chcieli tego skończyć od razu, ale planowali jeszcze jutro przesiewać, więc prosili, byśmy się nie spieszyli i pytali, czy na akord, czy na dniówkę, a kiedy okazało się, że na dniówkę, wtedy stanęliśmy i już do końca dnia nie ruszyliśmy ani jednej łopaty.

Wychodziliśmy zgryzieni, tym bardziej że Leszkowi zwinęli z szafki niezamkniętej na kłódkę, bo jej nie było, spodnie i pas, który zostawił, aby się przebrać w kombinezon, a kierownik nie chciał o niczym słyszeć i był wyraźnie wściekły. Zaś nazajutrz przyszliśmy prawie punktualnie, choć przeszliśmy już od rana sześć kilometrów do stołówki i z powrotem, przywitał nas brygadzysta, młody i przyjemny człowiek, który zaraz pierwszego dnia zaprzyjaźnił się z nami biorąc filologów za ichtiologów, a ponieważ lubił ryby, więc cieszył się, że my też; poszukiwał nas kierownik, ale nie było go na razie i dopiero po trzech godzinach naszego siedzenia się pojawił, zaaferowany, machając rękoma i oświadczył, że zwalnia nas, bo nie pracujemy, a przy tym on nie ma ochoty się nami opiekować, ważniejsze

rzeczy ma na głowie i choć współczuwa nam (tak powiedział – *współczuвам* – do dziś pamiętam), to u niego nie możemy być.

Poszliśmy do komendanta hufca i było nam go żal, wyraźnie się biedak przestraszył, mówiliśmy mu, że nie zawiniliśmy i opowiedzieliśmy o wszystkim z prośbą o interwencję u dyrektora, ale był nadal niepewny i wściekły na nas, mimo że nie miał powodów, prawdopodobnie bał się tej rozmowy z dyrektorem i jej konsekwencji dla siebie, a ściślej dla swojej premii zależnej od dyrekcji i stosunków z nią, i właściwie nie tyle mu chodziło o nas, co o dyrekcję, co zrozumiałe, bo oni go opłacali, choć był niby od nas z uczelni mianowany.

Więc poszliśmy na tę rozmowę sami, musząc bronić siebie i nie licząc na nikogo, bo wiedzieliśmy, że komendant nas nie poprze. W gruncie rzeczy było nam wszystko jedno, zobojętniliśmy na wszystko. A dyrektor był poważny i już nie tak elokwentny jak pierwszego dnia, patrzył surowo i mówił powoli jak do ludzi, którzy zawiedli i nie okazali się godni pracy w jego przedsiębiorstwie. Więc nie tłumaczyliśmy mu niczego, tylko od razu przeprosiliśmy, co prawda Leszek wściekły po stracie spodni i oficerskiego pasa, takiego ekstra mocnego, chciał coś powiedzieć i nawet zaczął, ale go zmitygowaliśmy, tym bardziej że dyrektor nazwał naszego byłego kierownika najlepszym kierownikiem w Przedsiębiorstwie Robót Budowlano-Montażowych i mówił też o planie, że uniemożliwiliśmy wykonanie załozde planu.

Było nam bardzo głupio, nie wiedzieliśmy, że nasza czwórka może zachwiać tak wielkim przedsiębiorstwem i poczuliśmy się jak synowie marnotrawni, szczególnie, gdy dyrektor nam wybaczył i kazał skierować do magazynów, abyśmy przymowiali węgiel. Ucieszyliśmy się i podziękowali serdecznie pełni podziwu dla wielkoduszności. Proszę, plan mu zawalamy, a on umożliwi dalszą pracę. I poszliśmy do magazynu, ale po drodze wdzięczność z nas opadła, bo technik, który nas miał zaprowadzić, stwierdził, żebyśmy się nie martwili, bo to nie nasza wina, a kierownik nas się pozbył, gdyż zwiększaliśmy mu fundusz płac, a poza tym zdaje się, że nie odda w terminie szkoły i stąd jest wściekły, w ogóle wyzywał dyrektora, po co nas przyjął, że jemu nie potrzeba, lepiej by mu dał materiału budowlanego, co jest prawdą, bo rzeczywiście kooperanci nawalają, ale i załogę mają słabą, bo te brygady, które pracują pod naszym byłym kierownikiem są zdemoralizowane i upijają się często, zresztą kierownik, choć dobry fachowiec, tyle, że bez matury, ale do ludzi nie umie podejść, nie lubią go i robią mu psikusy, więc mimo próby wprowadzenia dyscypliny nie wychodzi mu ostatnio nic i stąd jego żal do wszystkich, do dyrekcji, a poniekąd i do nas, choć niby byliśmy Bogu ducha winni, ale cóż, jak się chce, bicz się zawsze znajdzie.

Tyle mówił technik, a my zaczęliśmy pojmować i nagle poczuliśmy się starsi, i to, co wydawało się niesprawiedliwością jednostkową ukazało nam swoje złożone oblicze, i jakby spojrzeliśmy na nasze wyrzucenie z innej perspektywy, i chyba po raz pierwszy uświadomiliśmy sobie, że można patrzeć na coś inaczej i różnorako, że sytuacje i ludzie bywają piekielnie niejednoznaczni, i zadumaliśmy się nad tym.

Tak, że nie zdziwiło nas, iż w magazynie brygadzista i dwóch robotników naszych przyszłych kolegów, byli pijani, a jeden zaraz posłał mnie po pół litra, bo już wiedzieliśmy, że w ich życiu musiało być coś tajemniczego i skomplikowanego. Może okupacja, może kłopoty z żoną, a może także jacyś ich kooperanci nawalali, co sprawiało, że zamiast przymować węgiel pili wódkę, i że piliśmy razem z nimi, bo i nasze życie zaczynało być takie, i nabierać podwójnego sensu, więc piliśmy z radością, bo to było wpasowanie do świata dorosłych, tajemniczego i pełnego podtekstów.

Nie trwało to zresztą długo, gdyż już nazajutrz zatelefonowano do nas z dyrekcji, mieliśmy się zgłosić gdzie indziej, do innego magazynu i tam budować drogę dojazdową, usypywać piasek i wyrównywać, a potem kłaść płyty. Drogę budował już od dwóch tygodni student prawa, który przyjechał także z nami i budował tę drogę długo, ale był sam, więc mu nie wychodziło i w końcu machnął ręką i zamiast budować opalał się na płytach cementowych, poustawianych jedna na drugiej, ciężkich jak cholera i był brązowy od kołobrzeskiego słońca.

Przywitał nas z radością i zaczęliśmy robić drogę, już bez takiego entuzjazmu jak przedtem, ale przecież pracowaliśmy. Zewsząd nadchodziły złe wieści od naszych kolegów. Ci, co mieli oczyszczać piasek, wciąż nie pracowali tak, jak chcieli, bo podnośnika nie miał kto naprawić, a i wiader nie było, i już o dwa tygodnie przekroczyli termin wykonania pracy, ale co poniektórzy z nas mówili, że to i dobrze, i, że zakład wcale się tym nie martwi, a znany z cynizmu matematyk Jimmy, który często jeździł na ochotnicze hufce, twierdził złośliwie, że kto wie, czy sama dyrekcja nie zepsuła podnośnika, bo się boi, że za szybko zrobią, a nie mają dla nas dalszej roboty. Już nie oburzaliśmy się na to, bo byliśmy starsi o trzy tygodnie i nie tak pewni swoich racji o rzeczywistości, którą widzieliśmy i która odbiegała od przemówień polityków i relacji prasowych.

Budowaliśmy więc tę drogę i prawie ją już kończyliśmy, i odzyskiwaliśmy wiarę w sens swojej pracy, i widzieliśmy, że robimy coś pożytecznego i nareszcie możemy pracować gorzej lub lepiej, ale pracować, tylko prawnik dziwnie się uśmiechał, opóźniał tempo i nakłaniał do opalania na słończku, że był to jednak leniuch i cwaniaczek, więc nie ulegaliśmy mu, co najwyżej przedłużaliśmy przerwę śniadaniową o 20 minut, aby się trochę poopalać, co zresztą sam kierownik magazynu, młody technik, pochwalał, a w każdym razie nie ganił i nawet nie wypędzał nas z płyt, na których siedzieliśmy zamiast 15, całe 40 minut. Było nam dobrze i czuliśmy, że zbliżamy się do końca praktyki i, że coś po nas zostanie, chociażby ta droga, niewielka rzecz, ale zawsze. A, że naszym kolegom poszczęściło się gorzej, to znaczy w ogóle nic nie robili, więc byliśmy weseli i wieczorami chodziliśmy dumni po mieście z dziewczynami, które zjechały tu z całej Polski, i które, choć nie mieliśmy za dużo forsy, ulegały naszemu warszawskiemu szycowi i zgadzały się na randki, i na fajfy w dyskoteci, a nawet i na coś więcej.

I wtedy, kiedy było już tak dobrze i położyliśmy część płyt na drogę, którą usypaliśmy i po której już niedługo miały jeździć samochody, wezwał nas

kierownik magazynu i był trochę zmieszany, a obok niego stał nasz komendant, i też był nie w sosie, i zaczęli nas się pytać, jak to się stało, że tu jesteśmy i dlaczego robiliśmy, a nawet zrobiliśmy tę drogę, kto nam pozwolił na to. Więc byliśmy zdziwieni i zaskoczeni, że pytają nas teraz, kiedy zrobiliśmy wszystko, tym bardziej że kierownik nas przyjmował i on sam to potwierdził, ale minę miał niepewną, bo okazało się, że nastąpiła pomyłka, mieliśmy być dalej przy przymowaniu węgla i tam w dyrekcji byli zdziwieni, że nas nie ma i pytali się o nas, co z nami i musieliśmy się dlatego tłumaczyć.

Ktoś, nie było wiadomo kto, wydał mylną decyzję przeniesienia nas tutaj, a w ogóle mieliśmy być przy węglu, więc znaleźliśmy się nie tam, gdzie trzeba. Przenieśliśmy się z powrotem do magazynu węgla, choć pozostały tylko dwa dni do końca i już nic nie robiliśmy, tym bardziej że brygadzysta nie miał pieniędzy na wódkę, a pracować już od dawna nie mógł i chciał tylko dotrzeć do emerytury. Siedzieliśmy z nim w małym pokoiku i gapiliśmy się na węgiel, a nazajutrz szliśmy podpisać karty pracy i rozliczać się ze wszystkimi, bo kończyła się praktyka. Nie było już ogólnego zebrania, nie zobaczyliśmy dyrektora, którego i tak widzieliśmy jeden raz więcej niż pozostali, nie było przemówienia. Każdy wziął kilkaset złotych, tyle po potrąceniach otrzymaliśmy i poszedł pożegnać Kołobrzeg.

A ja jeszcze w tym czasie się zakochałem, więc nie myślałem o niczym i dopiero w pociągu równie brudnym i zatłoczonym, jak ten, który nas przywiózł, jakby był to ten sam pociąg, a może i był, zaczęliśmy rozmawiać o praktyce i choć nie było w nas tej radości, i zapału, ale przecież pozostało trochę dumy z powodu drogi i ona nas ratowała przed pogrążeniem i zupełnym oklapnięciem, tak, że jechaliśmy niezupełnie na tarczy, choć nie tak zwycięscy, jakimi chcieliśmy być. A gdzieś koło Piły, kiedy chciało się już spać i tylko tłok uniemożliwiał sen, z naręczem butelek piwa przedostał się do nas stojących przy oknie prawnik, z którym budowaliśmy drogę; zaczął nas częstować piwem, choć sam był pijany i gadał dużo o dziewczynie, i że cieszy się z powrotu, i raptem zaczął też o drodze, śmiejąc się powiedział, kiedy mijaliśmy pociąg jadący do Kołobrzegu, patrząc na przesuwające się figurki w tamtych oknach, że jedzie pewno następna grupa studencka na praktyki i że będą podobnie, jak i my budować drogę. A gdy nie wiedzieliśmy, co to znaczy i o jakiej drodze mówi, wyjaśnił nam, że tę drogę, którą zbudowaliśmy, ostatniego dnia przed naszym wyjazdem rozwalono, aby znowu studenci mogli ją zbudować i śmiał się przy tym pełen zadowolenia, bawiąc się przerażeniem na naszych twarzach, i niewiarą, która ustępowała powoli zrozumieniu.

Pojęliśmy nagle, dlaczego tak niestarannie kazał nam kierownik ustawiać płyty i nie kazał dopasowywać do siebie. Wiedział już wtedy, że je rozbierze i rozwali udeptaną ziemię, i usypana droga stanie się znowu bezdrożem, miejscem budowania. Poczuliśmy się zdruzgotani i skończeni, i pełni wiedzy, od której nie chcieli się żyć, i nawet śmiech, cyniczny, bezlitosny śmiech z siebie, i z własnej głupoty, własnego, młodzieńczego entuzjazmu nie wyzwalał. I to właśnie odtąd narastały: wstyd, niewiara, zdruzgotanie zupełne i oschłość, które przeszkadzają myśleć

i robią z dzieci starców, i prowadzą do rozpacz. Nawet teraz na myśl o tamtym czuję się jak ofiara lichego oszustwa, jak facet, któremu sprzedano kolumnę Zygmunta.

Zostaliśmy wciągnięci do surrealistycznego snu, znaleźliśmy się na kiepskim filmie, gdzie nic nie przylega do siebie, bo operator pomylił kolejność kadrów i nie możemy wyjść, i odnaleźć siebie, choć już minęło tyle czasu, i jesteśmy o wiele starsi. Pozostała tylko ta resztk, cień wiary, że mimo wszystko pracowaliśmy, że choć zniszczono naszą pracę, to przecież ona była. Ale to jest jednak mało, diabło mało. Że każdy musi mieć jednak jakąś wiarę i jakieś przekonanie, więc i ja trzymam to swoje. Mizerny akt wiary w to, co zrobiłem, choć tak jakbym nie zrobił. Trzymam mocno, bo tylko on mi został. I z nim muszę iść dalej i pracować.

Marek Zieliński – publicysta, krytyk literacki, urzędnik państwowy, dyplomata. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (filologia polska i dziennikarstwo) oraz SGH (Podyplomowe Studium Służby Zagranicznej). W latach 1973–1991 pracował w redakcjach: dwutygodnika „Student”; dwutygodnika „Nowe Książki”; tygodnika „Kultura”; miesięcznika „Więź” oraz „Tygodnika Solidarność”. Był konsulem RP w Kolonii, Bernie, Irkucku i Moskwie, dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie i kierował Wydziałem Promocji Handlu i Inwestycji w Moskwie. Współpracował z lubelskim środowiskiem wychodzącego poza cenzurą periodyku „Spotkania”; z Instytutem Literackim w Paryżu oraz z Północnoamerykańskim Studium Spraw Polskich w Ann Arbor. Zamieszczał teksty w opracowaniach zbiorowych (ostatnio w tomie: *Kościół na łamach paryskiej Kultury w latach 1946–2000*, Instytut Literacki Kultura – Instytut Książki Paryż – Kraków 2015). Wydał dwie książki poświęcone literaturze: *Kilka niewzruszonych przekonań* (1987, Biblioteka Więzi) i *Ucieczka przed Polską. Szkice nie tylko o literaturze* (2006, Arcana). W okresie od 12/13 grudnia 1981 do 30 października 1982 był internowany w ASW Białoleka i Obozie Internowanych w Strzebielinku.